

Ogród stu pociech

Emocje silne i przyjemne

W święta i w dni. przedświąteczne przed drewnianą, kolorową bramą, przed wejściem do czarodziejskiego ogrodu, w którym z hukiem i zgrzytem, po zawrotnych wirach ruszających przebiegają wagoniki kolejki górskiej, skąd dobiegają dźwięki muzyki i odgłosy strzałów ze strzelnic — przed tą kolorową bramą małe chłopaki z Pragi stoją i proszą, żeby ich zabrać z sobą do Lu na-Parku, albo żeby im dać na bilet.

ZA 30 GROSZY—W PRZEPASĆ!

A za bramą jest tysiąc wrażeń i 100 pociech. Może nawet nie sto, ale w każdym razie rozmaite jest masa, i rozrywki najróżniejszych.

Przez wygracowane ścieżki, pomiędzy zieloniusienkami trawnikami panna Niusia z panem Rysiem, pod ręką idą. Panna Niusia w krepdeszynowej niebieskiej sukience. Sukienka dołem ma falbanę, a niebieska krepdeszyna na Wielkanoc była nabierana.

Najpierw trzeba obejść cały ogród, żeby wszystko obejrzeć, a dopiero potem wybierze się jakąś dobrą rozrywkę. I okazało się, że przedewszystkiem trzeba pojechać górską kolejką. Za dwie osoby pan Rys sześćdziesiąt groszy zapłacił.

— Jak państwo jeszcze raz pojedą, to już będzie kosztowało taniej, tylko po 20 groszy od osoby — powiedziała kasjerka.

Potem wsiadli do dwuosobowego wagoniku i — hop! la — wózek ruszył.

Najpierw jechał wolniutko, pod górę, tak wysoko, aż ponad wierzchołki drzew i zdawało się, że do samego, granatowego, w złote gwiazdy nieba. A potem, a potem wagonik spadał w dół, jakby w przepaść. Panna Niusia krzyczała wtedy bardzo głośno. Bo w głowie jej się po pierwsze kręciło, po drugie myślała, że to już ostatnia chyba godzina przysła, a po trzecie — wszystkie panny co w wózkach na kolejce górskiej jechały też tak właśnie krzyczały wniebogłosy.

Kiedy już na sam dół wagoniki powróciły, dziewczęta wysiadały z nich roześmiane i z potarganymi włosami.

— Taki wiatr, że włosy rozwiewa, jak się jedzie — powiedziała tak sobie panna Niusia.

Ale wszyscy co wysiadali, to i tak wiedzieli, że to nie tylko wiatr.

W TRAMWAIKU

Potem okazało się, że bardzo

przyjemnie jest pojeździć tramwailem. Tramwaiki były poruszane elektrycznością i co chwila jeden tramwaik wpadał na drugi. I wtedy było najprzyjemniej. Tylko że potem to prawie, że do awantury doszło, bo jeden taki blondyn w beżowym, sportowym garniturze, to nic — tylko ciągle na panny Niusi wózek najechał.

— Panie młody, co się panu na leży, — powiedział wtedy pan Rys, ale więcej już nic powiedzieć nie mógł, bo tramwaiki znów się rozjechały w różne strony.

W BECZCE ŚMIECHU

Kiedy mistrz magii — Futurini zaczął swoje sztuki najdziwniejsze pokazywać — zdawało się, że naprawdę wszystko odbywa w zaczarowanej krainie. Sztukmistrz wydobywał ludzi z rękawów, z uszów, z nosów srebrne monety, palił 20-złotówki — i pokazywał po chwili, że są całe i nienaruszone.

A potem nie można było oprzeć się pokusie, żeby nie pójść do „beczki śmiechu”. Beczka była

wielka i wyłożona w środku miękkim materacem. Obracała się ciągle coraz szybciej, coraz szybciej. Jak kto do niej wszedł, to na nogach nie mógł stać, bo zaraz się przewracał. Tylko, jak kto już nie pierwszy raz tu przyszedł to wiedział, że trzeba szybko biec w tę stronę, w którą obraca się beczka.

I właśnie tak było, że w beczce biegali sami tacy, co to już znali się na tem i nie przewracali się — więc kiedy pan Rys z panną Niusią przyszedł i potem jeszcze przyszedł jakieś dwie młode panienki, to dopiero była uciecha, bo wszyscy nie — tylko ciągle się przewracali. A że ludzie zawsze są przewrotni, to zaraz całe tłumy się nabitowały, żeby patrzeć, jak się panienki przewracają.

— Nóg nie widzieli, czy co? — tak mówiła jedna z tych panienek, co weszły do beczki.

Ale nie była zagniewana, tylko bardzo się śmiała.

STRZAŁ W LABIRYNCIE

Na ten labirynt to panna Niusia właściwie nie chciała się dać

namówić, ale w końcu zgodziła się.

W labiryncie było strasznie dziwnie, bo szło się i szło takimi korytarzami, niby między parkanami z desek i ani rusz nie można było trafić do wyjścia.

— O Jezu, dokąd my tak będziemy kołować — zmartwiła się panna Niusia. I w dodatku przestraszyła się, bo nagle usłyszała strzały. Ale zaraz się uspokoiła, bo przecież te strzały to słycały było ze strzelnicy.

— Niech pani w ten korytarz idzie — powiedział jakiś uczeń, co go w labiryncie spotkali.

I rzeczywiście — zaraz potem znaleźli wyjście i poszli do strzelnicy. Za 50 groszy 10 strzałów dla panny Niusi zakupił pan Rys. Ale że za nie sama broni o ręk wzięć nie chciała — więc sam strzelał. Tak na popis przed nią. I trafił, trafił w drewnianego kowala co zaraz młotkiem w dzwonek uderzył, obwieszając pana Rysowe zwycięstwo.

„NA DANCINGU

Na dancingu było bardzo wesoło. Na werandę przy stolikach siedzieli goście. Panie piły lemoniadę albo malinowe lody jady, a panowie coś solidniejszego sobie zamawiali.

Orkiestra grała same rzewne tanga. Niektóre panny były ze swoim towarzystwem, i jak tylko muzyka zaczynała grać to zaraz pary szły tańczyć na drewnianym parkiecie pośrodku werandki. A te panny co samotnie siedziały przy stolikach, po dwie, albo po trzy — to czekały, aż podjadzie jakiś mężczyzna i zaprosi do tańca. Jeśli nie zaprosił, to panny siedziały smutne i nie — tylko krytykowały tych tańczących.

— Popatrz, jak ten w szarem palcie tańczy. Jakby w błocie się czałpał.

Ale wszystkie złośliwości i rzewne dźwięki tanga — zagłuszył nagle, ostry podniesiony głos męski.

— Zdejm pan ten kapelusz, jak w sąsiedztwie kobiety, pod dachem siedzisz.

— Pilnuj pan siebie.

— Milczęć, bo nauczę rozum!

W czyjejś dłoni błysnął rewolwer.

— Ja ciebie nauczę

— Policja!!!

Ale obeszło się bez policji. Mała scysja towarzyska załatwiona została polubownie. Rewolwer nie był prawdziwy.

m. i. k.



Przechwałki

Jeżeli trzech próżniaków zasiądzie przy trzech kufkach piwa, rozpoczynają się przechwałki. Tematem bywają zwykle romantyczne przygody, które często swą treścią wprawiałyby w podziw zafanowanego Boccaccia.

Wiemy, że każda sprawa ukarowana zgóry i przemysłana w chwili realizacji traci na uroku — odarta z wszelkich iluzji, staje obrzydliwie codzienna i spóźniona.

Dłatego każdy z nas w jadalni siewych wrażeń, zostawia chętnie jedno puste miejsce, w nadziei, że je wypełni jakaś piękna przygoda.

Przechwałki piwoszów dzielą się na romantyczne przygody na łonie natury, przygody telefoniczne, kolejowe, sublokatorskie i inne.

Przygoda na łonie natury. Jeden z próżniaków pociąga łyk piwa i mówi:

— „Idę, uważacie, przez las. Po goda piękna, lato, ma się ku wieczorowi. Przedzieram się długo przez gęste paprocie i nagle słyszę szmer bijącego w pobliżu źródła. Spragniony wody, zmierzam w jej kierunku i, kiedy rozchyłam bujne listowie, nagle staje, jak wrzyt.

W źródle kąpie się piękna dziewczyna. Złociste loki, uważacie, okrywają jej nagość. Skapana w blaskach zachodzącego słońca wygląda, jak leśna boginka.

Ażby jej nie spłoszyć, ukrywam się w gąszczu i zaczynam śpiewać arję z „Tristana i Izoldy”.

Narrator zaczyna nucić półgłosem arję, a kelner tymczasem przynosi świeże bomby piwa, które zespół słuchaczy wysusza w trakcie dalszego opowiadania.

Przygoda kolejowa:

— „Jadę, uważacie z Warszawy do Grodna, sam jeden w przedziale. Noc. Przeczytałem gazetę i wybieram się do spania, aż tu nagle na jakiejś stacyji wchodzi do przedziału cudo. Złote loki, uważacie, czarna woalka. Nogi, proszę was, smukłe, jak węgorki. Przez chwilę ogarnia mnie strach, że pię-

kne zjawisko rozmyśli się i pójdzie do innego przedziału, ale ona na szczęście zostaje i jedziemy razem...”

Kelner przynosi dalsze bomby piwa, które w trakcie dalszego opowiadania znikają w pęcherzach słuchaczy.

Przygody sublokatorskie polegają na wynajęciu pokoju „u młodej, cudnej wdówki”.

— „Ani chwili się nie namyślałem — mówi narrator — ujrzałem ją, wynajęłem pokój od razu...”

— Kelner, jeszcze trzy bomby!

— „Albo kiedyś zadzwoniłem, uważacie, pod pierwszy lepszy numer telefoniczny — odpowiedział mi piękny altowy głos...”

— Kelner, jeszcze trzy jasne!

I tak się ciągną romantyczne opowieści jedna za drugą, napędzając słuchaczy podziwem i piwem.

Nasłuchaliśmy się takich opowiadań bez liku, ale żadnemu nie wierzę. Z tym lasem, to nieprawda. Chodziłem nieraz samotnie po lesie. Owszem, zdarzało mi się spotkać gajowego, zająca, srokę na drzewie albo pijane towarzystwo tańczące przy dźwiękach gramofonu, ale nie zdarzyło mi się nigdy spotkać leśnej boginki.

Raz tylko czytałem w gazecie o pewnym gajowym, któremu przytrafiła się w lesie romantyczna przygoda. Dostał cztery lata.

To samo w pociągach. Jeździłem nieraz do Białegostoku. Przedział był zawsze zapchany. A jeżeli był nawet pusty, to na najbliższej stacyji wsiadał zwykle ksiądz, albo major, czasami jakaś starsza pani z wnuczką, ale nigdy Marlena Dietrich.

Jeżeli dzwonię pod pierwszy lepszy numer telefoniczny, to odpowiadają mi ktoś zwykle ochrypłym żargonem: „Tu firma Kon i syn”. Albo: — „Cyplin przy telefonie”. Czasem odpowie głos któregoś z Kowalskich względnie Zielińskich, ale nigdy głos Greta Garbo.

To samo z pokojami. Zmieniałem szereg mieszkań i stwierdzam, że nie spotkała mnie żadna przygoda. Czasem zetknąłem się oko w oko z pluskwą, czasem dochodził mnie głos elektroluksu i to wszystko.

Opierając się na tych danych nie wierzę w przygodę.

Piwo? Owszem wypiję, ale co reszta, to bujda! Jur.

Obyczaje Papuasów

Ale i Europejczyków nielepsze

W Morobe, ważnym centrum handlowym, położonym w kraju Papuasów na Nowej Gwinei zdarzył się dość niezwykły wypadek. Jednemu z naczelników plemienia zbiegła żona. Rozgniewany tem Papuas przybiegł z zażaleniem do gubernatora danego okręgu, rezydującego w ratuszu w Morobe.

Gubernator okręgu wysłuchał skargi Papuasa i oświadczył mu przez tłumacza, że niema na to innej rady, jak pogodzić się z losem. Papuas niezadowolony z tej odpowiedzi popadł w szal i podpalił ratusz.

Opublikowane ostatnio przez prasę angielską sprawozdanie gubernatora Nowej Gwinei, sir Huberta Murray'a zawiera cały szereg przestępstw, popełnionych pod wpływem chwilowego podniecenia. Pewien Papuas, którego nąjęto do noszenia wody, zmęczony pracą, dał upust swemu zniechęceniu do noszenia wody, zmęczony pracą, dał upust swemu zniechęceniu do tego rodzaju zajęć, podpalając ratusz miejski. Inny podpalił swój własny dom tylko dlatego, że jego brat odmówił zabicia świni. Pewien Papuas, któremu umarło dziecko, w rozgoryczeniu swem ścinał drzewo i zamordował siedzącego na niem tubyl-

ca. Sir Hubert Murray cytując wypadek zamordowania przez Papuasów własnej matki dlatego, że rozgniewał go płacz dziecka. Inny nie mogąc znaleźć noża popadł w gniew i zamordował siedzącego obok swego dobrego przyjaciela, który szukano go nie widział na oczy.

Jeden z dzienników angielskich w komentarzu do sprawozdania sir Huberta Murray'a zaznaczył, że na podobne odruchy potrafią się zdobyć również Europejczycy. Dziennik cytując pewien wypadek, gdy urzędnik administracji brytyjskiej w Australii usiłował spowodować wykoślenie pociągu przełożonego po wyjeździe z koszar, kopnął pierwszego napotkanego na drodze przechodnia, który zasnurowywał sobie buty.

Dziennik wysnuwa stąd mało pocieszające refleksje, że człowiek pod wszystkimi szerokościami geograficznymi jest jednak.

Podróżuj samolotem

jednak, wylądował przed pierwszą linją Szkotów, natrafił na jakąś nierówność gruntu i skapotował, aż zatrzeszczało.

Przestrzeń dzielącą najbardziej wysunięte rowy wrogich okopów, przestrzeń, którą Anglicy nazwali romantycznie „no man's land” (ziemia niczyja) liczyła wówczas w tych okolicach od czterystu do siedmiuset metrów szerokości, a pchowy samolot nakrył się kołami właśnie w najwęższym miejscu tej „ziemi niczyjej”. Przywalony gruzami swych maszyn, lotnik leżał w odległości najwyższej stu kroków od swoich i nie można mu było nic pomóc. Sanitarjusze z oddziału Gandhiego wyszli coprawda z rowu, powiewając chorągiewkami z czerwonym krzyżem, lecz Niemcy spędzili ich zaraz ostrzegawczą salwą w powietrze; wiedzieli, iż w samolocie znajdują się najcenniejsze zdjęcia ich okopów i dlatego postanowili nie dopuścić nikogo do rozbitych maszyn. A lotnik jęczał i jęczał. Wołał, że jest ranny, że nie czuje nóg, błagał o trochę wody. Popołudniu słabnącym już głosem prosił, by go dobić, bo cierpi ogromnie.

— Spelni się twoje życzenie, biedaku! — mruknął Batten, — spelni się niebawem, lecz śmierci nie będziesz miał lekkiej. — Tu zgrzytnął, pięścią pogroził szumiącym drzewom, jakgdyby tam znajdowała się siedziba centrali wiatrów. — Właśnie teraz muś dać, właśnie teraz!

Od kilku minut dął silny wiatr północny! Zderzenie w okopach leżących przed „Małym Ewerestem” i na lewo od niego doszło do zenitu. Próżno oficerowie tłumaczyli żołnierzom, że wiatr jest silny; taki wiatr skręca fale gazowe, rozdziera, rozprasza, a przede wszystkim unosi je w górę, zanim zdążą przepłynąć ponad „ziemią niczyją”. Dopiero gdy szybkość wiatru spadnie do pięciu metrów na sekundę, ha, wtedy co innego, ale narazie można spać spokojnie.

Na spanie nikt nie liczył tego wieczora. Każdy miał zbyt świeżo w pamięci dantejskie sceny z 22-go kwietnia. Och, tych oszałamiających z przerażenia żołnierzy, kaszlących, duszących się, wymiotujących

krwią, tych biednych ludzi, którzy chcieli powiedzieć, co im dolega i błagać o ratunek, a nie mogli spowodu skurczu głośno wywołać ani sylaby, tych napół ślepców, przewracających się co krok, lub biegnących właśnie naprzeciw morderczej chmury... miano nie zapomnieć póki życia. A teraz ta potworna groza śmierci wśród wymyślonych tortur zawisa nad temi okopami. Wiatr północny już dął. Narazie był za silny, ale gdy ostabnie, gdy z pierwszego rowu przekleństw bezczelnie wypelnnie zielony obłok, wówczas...

— Wówczas należy rozpocząć odwrót w miarę posuwania się fali gazowej. Równocześnie artylerja zaporowym ogniem powstrzyma pochód nieprzyjacielskiej piechoty. — Taki telefonogram odebrał dowództwa.

Wiedź o tym rozkazie spowodowała odprężenie sytuacji, wywołała westchnienia ulgi. Zatem nie skazano ich tutaj na śmierć, cofną się o parę kilometrów, będą ocaleni wszyscy, wszyscy...

— Prócz lotnika!

Aby i on mógł ocaleć, należałoby go natychmiast wydobyć spod samolotu. Próbowani, a także, lecz kiedy trzech ludzi zostało rannych, nowych ochotników zabrakło. Nadzieje, iż pod osłoną ciemności uda się wyprawa, zawiodły. Ledwie zmrok zapadł, Niemcy zapalili reflektor. Kiedy go im strzaskano, odpalili pięknie za nadobne i kulomiotu zaczęli pracować w samolot.

— No, teraz już po nim, — sądził Batten.

Mylił się. Lotnik leżał w leju po granacie, kule nie mogły go dosięgnąć, żył i znów jęczał. Nie, wołał! Wołał zbolalym głosem: — Uciekajcie!... Wiatr słabnie... Za chwilę gaaz!

Majaczył, albo zasługiwał na tuzin najwyższych orderów. Żeby w takiej chwili nie myśleć o sobie, tylko o innych?!

Podobnym altruistą był sierżant Gandhi. On również nie chciał myśleć o własnej skórze, którą kulomiot podziurawiłby, jak rzeszoto, tylko o lotniku, lecz Hindusi nie wypuścili swojego mahatmy z okopów.

(D. c. a.).

Antoni Marczyński

Zemsta Hindusa

Powieść egzotyczna

Dalszy ciąg ze str. 7-jej

— Jakto, niewiadomą; atak nastąpi dokładnie wtedy, gdy po raz pierwszy zawleje wiatr od północy, — tłumaczył Batten szkockim kolegom, którzy jeszcze nigdy nie „powachali” chloru, byli więc nowicjuszami; — Nie traccie się, drodzy kochanki. Chlor jest gazem cięższym od powietrza, dlatego nie dotrze na szczyt mojego „Everestu”; pozostanie więc przy życiu napewno i będę mógł wygłosić piękną mowę pogrzebową nad waszym grobem. Wzamięn za to powinniście mnie zamianować swoim spadkobiercą...

Propozycje, jakie „wzamięn za to” otrzymywał od zrozpaczonych Szkotów nie nadają się do powtórzenia. Tak, zrozpaczonych! Przeświadczenie o zupełnej bezsilności i bezbronności wobec fal gazowych moralnie zbijało z nóg najmężniejszych. Na cóż tu zdać się mogło wyszkolenie wojskowe, rutyna, odwaga, czy nawet bohaterstwo, skoro życie kilkudziesięciu tysięcy dobrze uzbrojonych żołnierzy zależało litylko od kaprysu wiatru?!

Lecz wiatru na szczęście nie było, albo dął z południa i tak upłynęło znowu kilka dni bez ważniejszych wydarzeń. Pierwszą sensacją na większą skalę było zestrzelenie przez Niemców lotnika, tego samego, który wykrył transport cylindrów z gazem, a który tej nocy znowu szybką nad nieprzyjacielskimi okopami od Mercken po Langemark. Wracającego o świcie pokropiono szrapnelami i nagle jego silnik przestał działać. Batten zbudzony salwami wbiegł do obserwatorium w chwili, gdy uszkodzony aeroplan opadał ślizgowym lotem, usiłując koniecznie dolecieć do swoich. Nie doleciał

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 666.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 666.62 (dział polityczny i ekonomiczny) 636.66 (dział miejski i liter.-art.); 666.59 (międzynarodowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesujące codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12—13.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Związek 691.64. Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny: — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz. Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Stowackiego 9, tel. 59; Wrocław. Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa wraz z cotygodniowym dodatkiem literackim „Prosto z Mostu” zł. 2.90 miesięcznie; wraz z gazetami Sienkiewicza zł. 3.90 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalaty): na 1-iej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia — 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691.56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieszyński.